



„Dybuk”, według  
Szymona An-skiego,  
reż. Maja Kleczewska,  
Teatr Żydowski  
im. Estery Racheli  
i Idy Kamińskich –  
Centrum Kultury  
Jidysz, premiera:  
17 kwietnia 2015

# Pogrzebywanie



**PRZEMYSŁAW  
SKRZYDELSKI**

komentator  
teatralny

**Maja Kleczewska w końcu wystawiła ważny spektakl, z czym miała kłopoty na pewno od dekady.**

Idąc do warszawskiego Teatru Żydowskiego, byłem pewny czegoś zupełnie innego. Że znowu obejrzę to, do czego Kleczewska przyzwyczała nas przez ostatnie lata, a czego jej nawet najzagorzalsi apologetci zaczęli mieć dosyć. To taplanie się w pretensjonalnej psychologii, przeciąganie do granic wytrzymałości scen, w których nie tylko widzowie, lecz także aktorzy nie wiedzieli, co z sobą począć; i w końcu pułapka, która Kleczewską na ostatnie lata pogrążyła zupełnie – ustawienia Hellingerowskie, metoda z psychoterapii, która w rzeczywistości teatru okazała się szaleństwem z tragicznymi konsekwencjami – z ostatnich przedstawień nie dało się już wysupłać skrawka sensu, wszyscy rozplywali się w nic nieznaczących słowotokach, psychotyczny nastrój

degradował również samych aktorów i sprowadzał ich do roli obiektów eksperymentu. Można to było tłumaczyć performance’em na specjalnych zasadach, z tym że zasady po drodze gubiła przede wszystkim Kleczewska. Pewnie – choć jedynie częściowym – wyjątkiem od tej reguły okazała się bydgoska „Podróż zimowa” (2013) według Jelinek, nie doskonała, jednak przekonująca przez spójną konstrukcję: od ukazania ekstremum zła złapanego jak w soczewce, w najdrobniejszych detalach, po finałową degradację rzeczywistości.

Świat w stanie rozpadu stanowi dla Kleczewskiej temat nie do uniknięcia, jakby bez ostatecznego rozprawienia się z nim nie istniał w ogóle sens uprawiania teatru dalej. To zadanie w moim przekonaniu reżyserkę przerosło, i to już parę dobrych lat temu. Choć zwiastuny tego objawiały się wcześniej. Po drodze pojawił się trop, który doprowadził do tych skrajnych diagnoz – mniej lub bardziej konkretnie analizowany w spektaklach upadek rodziny. Apogeum tego stanowiła „Oresteja” (2012), rzecz odpychająca niestety na każdym poziomie.

Z kolei dziś pokazanie „Dybuka” Szymona An-skiego jawi się jako gest paradoksalny, bo wszystko w tym klasycznym dramacie jidysz z 1916 r. nadaje się do tego, by Kleczewska zamieniła go w kolejny brutalny seans. W Polsce dramat pokazywano już wielokrotnie (w samym Żydowskim kilka razy od lat 50.; niegdyś na scenie robił go też Andrzej Wajda) i problem był zawsze ten sam: historia z duchem zmarłego młodzieńca wstępującym w ciało dziewczyny w dniu jej wesela niechący może się osunąć w horror albo w ludową przypowieść poza naszym kulturowym kodem. Wybrnął z tego Krzysztof Warlikowski (2003), łącząc miejscami archaiczny tekst An-skiego z reportażem Hanny Krall o dybuku współczesnym, czyli pamięci Holocaustu upominającej się o swoje w codzienności tych, którym udało się przeżyć.

Kleczewska jednak idzie w inną stronę, jej „Dybuk” to seans oczekiwania na nieuchronnie następujące po sobie zdarzenia, jak w przypowieści, która musi się wypełnić. Co więcej, reżyserka nie wstydzi się, że dokładnie tak ma być. Ta powoli odnajdująca swoje powody i konse-

kwencje historia uderza w jej dotychczasowy teatr podwójnie: rozbraja wszystko to, co było w nim nachalne i w skali jeden do jednego, z drugiej strony wybija na plan pierwszy to, czego Kleczewskiej nie udawało się wydobyć – obrazy w tej realizacji budowane są na ostrych, ale onirycznych skojarzeniach. Bez szantażu. Bez drażnienia. Niebawem, że udaje się to dopiero teraz, w takim kontekście.

Postacie wchodzą w tę narrację tylko pozornie bez żadnego celu. Długo pozostają niemymi świadkami. Odbywa się to inaczej niż u An-skiego, bo w dramacie zyskują jednak dość normalny status. U Kleczewskiej „Dybuk” rozgrywa się poza konkretnym miejscem i wbrew regułom czasu. Wszyscy zbierają się w pomieszczeniu, które przypomina świetlicę albo szpitalną poczekalnię. Spotykają się we wspólnej sprawie, lecz niekoniecznie się znają. Bardziej mają sobie coś do przekazania albo chcieliby z sobą pogadać. Być może podsumować całe życie.

Dla Kleczewskiej „Dybuk” to przypowieść przestroga, która domaga się powtórzeń, do znudzenia, bo przypomina tragiczny cykl, który nadal zatacza koła. Jednym z takich cykli pozostaje Holocaust jako element pamięci wciąż nieprzetrawionej. To dlatego nawiedzana Lea grana nieprawdopodobnie organicznie przez Magdalенę Kolesnik zyskuje inne, możliwe przeciwieństwo. Fenomenalny jest moment, kiedy to Gołda Tencer, dyrektorka i legenda sceny przy pl. Grzybow-



skim, wprost do publiki mówi o biografiach jej bliskich i tych związanych z tym teatrem – w końcu w tak pomyślanej przestrzeni każdy może wejść, stanąć lub usiąść i wyrzucić z siebie przeszłość. Kleczewska w ten sposób dla hermetycznej struktury dramatu An-skiego odnajduje kontrapunkty. To, co zaszczerpione w żydowskiej tradycji, fragmenty z kabały czy Talmudu, przekłada się na element z realiów nam bliższych. Jednak Kleczewska nie gra Holokaustem, nijak słowa aktorów Teatru Żydowskiego nie mają się do publicystyki. Zresztą narzuca tym narracjom właściwe proporcje, historia Lei i Chanana rozgrywa się na tych samych prawach, ratunek dla Lei również może zaś nadejść z dzisiejszego świata. W jednej z najlepszych scen Rebe Azriel w przewrotnej roli Henryka Rajzera daje do zrozumienia, że te dzieje mogą już nikogo nie obchodzić, przepędzanie duchów dziś nikogo już nie rajcuje. Sam nie wie, co robi w tym towarzystwie, i próbuje je traktować z dystansem, z dystansem też grając i komentując dzisiejszą sytuację Teatru Żydowskiego i fakt, że jeszcze do niedawna właściwie nikt tu nie przychodził.

I pierwszy raz widzę, że sama Kleczewska potrafi trak-

tować swój teatr z przymrużeniem oka, daje do zrozumienia, że z tajemnicą śmierci i przebaczenia win nie sposób sobie inaczej poradzić. Zresztą ten spektakl to ciągle zmiany tonacji, od rozwibrowanego punktu startu (opętanie ukazane jako jedność duszy i ciała) do monumentalnego zakończenia, gdy wszyscy kładą się w jednym szeregu niczym złożeni do grobów, z których chyba tylko na chwilę ich wywołano. Od śpiewanych pieśni (tłumaczenia z jidysz słyszymy na słuchawkach) z powracającym motywem: „Wszystko, co Bóg stworzył, ma w sobie iskrę świętości”, do symbolicznych skrótów, jak wtedy, kiedy Rabi Sender (uderzająco zdecydowana i surowa rola Marka Węglarskiego) przywołuje ducha matki Lei, a potem wysyła go z powrotem do zmarłych, łopatą przerzucając na niego ziemię przyniesioną w kubie. Zasypywanie przeszłości, odtworzenie jej, później znów próby jej pokonywania. Zmagania, jak móc mówić o śmierci. Albo jak ją zagadać lub oswoić. Może kadiszem, który spina tego „Dybuka” mocną kłamrą, nawołuje do wspólnoty. To zupełnie nowy wymiar dla teatru Kleczewskiej. Wymiar, która może jej teatr ocalić. ■

